ARTUR SCHRÖDER

ECHA



NAKŁAD GUBRYNOWICZA i SYNA

ECHA

ARTUR SCHRÖDER

ECHA

LWÓW 1914
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA

TEGO AUTORA:

„CHWILE“ — POEZYE

„OSTATNI HAMLET“ — NOWELE

Z drukarni przy Zakładzie narodowym im. Ossolińskich we Lwowie
pod zarządem Bronisława Korneckiego.

POEZYE

PODWÓRZE

Małe, ściśnięte murem kilku domów,
brudne, wilgocią dyszące podwórze,
kawałkiem nieba rozświetlone w górze,
mroczne u dołu cieniami załomów.

Szczątki papierów, gruz i kupa śmieci —
z boku sklecona nędzna buda stróża
nadgniłych desek ścianą się wynurza,
z której szmatami tynk zmurszały leci.

Tylko niekiedy słońce gdzieś z wysoka
garść swych promieni złotą dłonią ciśnie,
pożarną łuną w kałuży rozbłyśnie,
mrok spłoszy i blask swój rozśmiany
rozsieje, stłoczone porozszerza ściany,
ciężkie dla piersi i smutne dla oka.

LIPA

Na samym środku spękana, rozdarta,
chora, półzwiędła lipa obszarpana
stoi drżąc cała, brudami zlewana —
nędzy podwórza tego smutna warta.

Ku ziemi chyląc ręce swoje płonne
zdrętwiałe, suche, mrokiem wiecznym senne,
szeleści cicho wieści bezpromienne
dni swych wiosennych żałobne pozgonne.

Czasem gdy nad nią szum nagły przegoni
i zaniedbanych muśnie jej warkoczy,
rozbudzi pragnień podsłoneczne głębie,
otwiera ciche, tęskniące swe oczy
i śledzi w jasnej lazurowej błoni
pod ciepłe słońce lecące gołębie.

SMUTEK

Wlecze się smutek zalęknionej ciszy
wylęgłej w muru rozdrapanych ranach;
jak wstrętny robak rozpełza po ścianach,
czepia się okien suteren, podstryszy,

przykuca w mroku między paką śmieci,
poziewa nudą zwilgotniałej pustki,
jadem żre piersi owiniętych w chustki,
w błocie grzebiących, chorych stróża dzieci.

Wokół wre kwietne, rozbujałe życie,
tu wiecznie zimne, trumienne milczenie.
Czasem je tylko, wypadłszy skądś skrycie,
jęk przerwie lub przekleństw ohydnych lżenie —
i stek słów krwawych z nor wtedy wybucha,
jak zły pies nagle spuszczony z łańcucha.

KATARYNKA

Czasem przywlecze się znów katarynka
stara, żebrząca resztką ozdób blaskiem
i drze się schrypłym, suchotniczym wrzaskiem
targana ręką dziada-ślepca synka.

Na odgłos walca tęsknego z łoskotem
kilka się okien roztwieranych chybnie:
wybladłych twarzy cień na szybie mignie,
poduma chwilę i zniknie z powrotem.

Wokół się skrzynki ruch wczyna niezwykły —
rząd małych główek zbiera się ciekawie,
dreptają nóżki w takt melodyi schrypłej,
w wesołej, dawno nieznanej zabawie
ku małpce w pstre szmatki cisną się zdobnej
takiej pociesznej, a — tak im podobnej.

PIES

Pod murem samym, obok zlewu blizko
gdzie się szmat trawy marnej pleni licho,
leży i drzemie, przez sen skomląc cicho,
duże, oślepłe, wynędzniałe psisko.

Nikt nie wie z jakiego przywlókł się końca,
jaka go właśnie tu przygnała nędza;
może ostatek dni swoich już spędza
zbyteczny, stary podwórza obrońca.

Całymi dniami po kątach się kryje —
czasem się tylko zerwie i podleci
polizać ręce bawiących się dzieci
i starczym głosem radośnie zawyje.
Potem powraca, opuściwszy słuchy,
w kąt, zkąd pólsennie śledzi dzieciąt ruchy.

SZWACZKA

Gdzieś u samego dachu uwieszone
na zzieleniałej, mokrej, brudnej ścianie,
pomiędzy ciemne muru załamanie
małe, samotne okienko wciśnione.

W mętnych się szybach lśni nadbita szklanka,
w niej kilka kwiatów suchotniczych więdnie;
w górze, u ramy umieszczona zbędnie
licha, dziurawa, bielutka firanka.

Całymi dniami przy tem oknie małem
widzę twarz chudą, pochyloną smutnie
— twarz dziwnie stara wybladłej dziewczyny —
widać jak trzęsie się swem drobnem ciałem,
jak się nagina i kuli przy płótnie
w takt bolesnego szczękania maszyny.

Chwilami milknie twardy turkot koła
dla zmęczonego nawykły już ucha;
robi się cisza na poddaszu głucha,
nagła, gwałtowna, niespodziana zgoła.

Zdziwione oczy pod strop dachu gonią
i patrzą w okno, co nagle zniemiało
czy się co może tam złego nie stało — —
nic! jakieś się kwiaty czerwone płonią...

Potem dziewczyna rozchyla firanki
i w chudych palcach popod światło bada
koronki, jedwab, kosztowne falbanki:
strój cudny, dzieło jej pokłutych dłoni...
Nagle przez chwilę nieruchomo siada
i skroń się jej jeszcze boleśniej kłoni.

MUZYK

Nocą o zwykle tej samej godzinie,
kiedy przy lampie małej siedzę jeszcze,
nagle mną wstrząsa jak febryczne dreszcze
piskliwy dzwonek w ciemnej suterenie.

Ktoś klnąc po izbie stróżowej się tłucze,
drga w szybie światło rozespanym ruchem —
stróż ciężko stąpa po podwórzu głuchem,
szczękają sucho w jego ręku klucze.

Prawda, wszak to już godzina pory,
Kiedy, jak codzień, płaszczem okutany,
wraca z pobliskiej kawiarnianej nory,
spuchłe po drodze prostujący palce,
artysta-muzyk, dawniej pono znany,
dziś pjanym dziewkom grywający walce.

ŚMIERĆ

Wyjrzałem rano dziś przez okno moje
— jakaś mnie nagle pociągnęła siła —
mgła się po smutnem podwórzu włóczyła,
biednej mołając włosów lipy zwoje.

Lęk jakiś opadł zciszony, a dumny,
brzemienna łzami tłumionemi chwila —
Patrzę: z pod ściany z za mgły się wychyla
malutkie wieko szarej, lichej trumny...

Pusto dziś, cicho — jakby spali jeszcze —
każdy się w kącie izby swojej kryje;
pies tylko długo sennym głosem wyje,
echo się jego rozlega złowieszcze
i wieści sercom w tę ranną godzinę,
że śmierć tu dzisiaj zaszła na gościnę.

WICHER NOCNY

... W podwórzowego leja otwór wązki
z deszczem jesiennym wpadł wicher podnocny —
jak ptak zbłąkany, olbrzymi i mocny
odbił się od ścian, runął na grunt grzązki,

w błocie unurzał skrzydła swoje krucze,
porwał się z miejsca, zwija się i spiętrza,
chce się wydostać z omrocznego wnętrza,
wściekły o ściany wilgotne się tłucze;

w framugi się wciska, szarpie sieni wrota,
z jękiem po gankach stromych się upędza,
w uschniętej lipy konarach się mota —
jakby w takt szlochów nuty opętańczej
z mroków wypełzła cała ludzka nędza
i w dzikiem wyciu rozpacz bolu tańczy.

JESIEŃ

CMENTARZ

Jakby rozlana z czarodziejskiej misy
woń więdniejących kwiatów z dżdżu wilgotnych,
wzdłuż i wszerz szereg grobowisk samotnych
i straż pustkowi cmentarnych: cyprysy.

Liście opadłe na szerokiej ścieży
wiatr podwieczorny roztrąca i zwija —
pod murem, w stronie której nikt nie mija
przygotowany dla kogoś dół świeży.

Mrok cichym krokiem z za drzew się wychyla
i podmogilnym snom idzie na straże —
jakieś postaci wskrzesza zwidzeń chwila...
jawi się smutny, zgięty w liniach grzbieta
tłum dobrze znany: Horacy, grabarze
i pytająca, blada twarz Hamleta.

POLA

Długich, bezkresnych pól cichych przestrzenie
pod krwawym nieba kloszem bez końca,
gasnących blasków objęło milczenie
pod zachód słońca.

W różowej mgle się tumani pył złoty —
zjawa wieczorna rosami dzwoniąca
pełznie pomiędzy miedze i wykroty
pod zachód słońca.

A z nią jesieni pól tęsknota blada
łzy zżółkłych liści po drodze roniąca
idzie i gdzieś na zimnym głazie siada
pod zachód słońca.

Krwią się rozdarte nieba łono broczy —
Patrzę jak wicher zeschnięty liść strąca
i niewiem sam czemu wilgną mi oczy
pod zachód słońca.

WIERZBY

Rzędem obsiadły przydrożną chałupę
nędzną, skrzywioną, pół-wpadniętą w ziemię,
z dachem rozpadłym, jak rozbite ciemię,
w które wiatr nasiał zielsk zrudziałych kupę.

Zgarbione, drżące, z pochyloną skronią,
w pole przez próchna patrząc oczodoły,
z popękanemi starczym bolem czoły,
stoją, jak prośba z wyciągniętą dłonią.

Wiatr gnie im suche, nędzne prętów żebra,
szarpie sterczącą, bezlistną koronę,
co się w agonii trzepoce śmiertelnie
niemem cierpieniem milczenia — a one
zbiwszy się w strachu ciałem pniów swych szczelnie,
jak łka słuchają w nich jesienna febra.

ZACHÓD

Zachód usypiający szarożółtym zmrokiem
ostatnim blaskiem zorzy w długich spazmach
(tonie —
wiatr na drgających szczytach senne skłania
(skronie,
osypując się liści zeschniętych potokiem.

W mgle konają bez echa szczątki świateł płonne
wonie, dźwięki rozbite w szarych cieni mrowie
snów się włóczą majakiem przez polne pust-
(kowie —
Cicho... serce żałobne uderza pozgonne.

Nad ogłuchłą, zmartwiałą pól równiną smutną,
gdzie milcząca noc wstaje na kształt nietoperza
i wilgotnemi skrzydły świat grąży w pomroce,
skroń zimną o spróchniałe topole uderza
i zapłakane słoni mgłą oczy sieroce,
żal-jesień swą chorągiew rozwiesza pokutną.

SPOKÓJ

Słońce na ziemię resztki blasków kładzie —
aleją dzwonią liście spadające —
kwiaty konają na zamglonej łące —
ktoś szepce pacierz w opuszczonym sadzie —

Aleją dzwonią liście spadające,
lecą podobnej skrzydlatej plejadzie,
szklanym szelestem po drzew kolumnadzie
zeschłych piór palce zahaczając drżące.

Kwiaty konają na zamglonej łące,
usta spalone w tchu jesiennym jadzie,
co się podnocną na nich rosą kładzie,
do wątłych łodyg przytulając mrące.

Ktoś szepce pacierz w opuszczonym sadzie
pomiędzy sennie w mgle krzewy stojące
i idzie, roniąc łez krople gorące,
po spadłych liści krwawiącym się śladzie.

OSTATNI MOTYL

Obłąkała cię motylu zwodnicza nić słońca
nie przeczuwasz samotniku swoich bujań końca.

Nad kwiatami gasnącymi rozłaczasz swe skrzydła,
a nie widzisz jak w pajęcze śmierć cię wikła
(sidła.

Kto wie, może dzisiaj tą wrześniową nocą
raz ostatni twoje biedne skrzydła załopocą.

W szalonych może od pieszczot całunkach
(weselich
martwy opadniesz na róży konającej kielich.

A jutrzejszy szron już może w kryształowym
(błysku
opromieni was spowitych w ostatnim uścisku.

Nie zaświeci już nad wami ciepłe słońca złoto,
wiatr pogrzebie was w rozmiękłe ogrodowe błoto.

Z waszych wyznań echo tylko wstanie w wichru
(łkaniu
i sen smutny o tem waszem ostatniem kochaniu...

Obłąkła cię motylu zwodnicza nić słońca
i ta jesiennego ziela woń omdlewająca.

Ostałeś się ty sam jeden miłości nie syty,
tęczowy kochanku kwiatów, nigdy nie zdobyty.

Nie długo już... Śmierć cię zmoży w zimnym
(pocałunku
szukającego próżno w kielichu róż ratunku.

Więc zanim mróz jutro przyszle bezlitośnie gońca
pieść, całuj kwiaty, w ostatniego szalej bla-
(skach słońca.

ŚMIERĆ W LESIE

Gromem stu głosów zagadała puszcza
wilgocią i zielem więdnącym tchnąca;
huk się o kruche konary roztrąca,
strasznym się wrzaskiem rozwyła psia tłuszcza.

W cichość przedzgonną lęku padło hasło,
targnęło sercem leśnego milczenia —
z za pni oblicze łysło przerażenia
i bezpowrotnie z cichym jękiem zgasło.

Na ścieżek wolne podstępnie krawędzie
szalona trwogą wpadła sarn gromada;
na małą chwilę wstrzymuje się w pędzie,
oczami, z których lęk okropny pada,
gdzie ujść śledzi błędnie miejsca najskrytsze,
a śmierć jej drogę zastępuje chytrze.

SYPIĄ SIĘ LIŚCIE...

Sypią się, sypią szeleszczące liście,
migoce w słońcu ich jesienna krew;
czekam na czyjeś niespodziane przyjście,
słucham bolesnych skarg więdnących drzew.

Wiem, że w tej ciszy, co się uroczyście
lęgnie, gdzie kona jaśminowy krzew,
ubrany w przepych jesienny złociście,
żaden nie dojdzie mnie znajomy zew.

A jednak czekam, (chociaż wiem, żem w błędzie)
kogoś, kto nigdy nie był i — nie będzie.

PARK

Z zczerniałych, drżących drzew w parku mgła cie-
resztkami liści wiatr wieczorny szarpie (cze,
i żal gra na nich, jak na cichej harfie —
ból się ścieżkami samotnemi wlecze.

Ktoś cicho załkał w więdniejącej kępie,
zaszeleściły martwo uschłych krzewów ręce,
kwiaty jęknęły konające w męce,
mróz je wziął w trupie palce swoje sępie.
Z zczerniałych, drżących drzew w parku mgła
(Taki i tobie kres serce człowiecze). (ciecze...

BABIE LATO

Srebrna pajęcza kiść mota się, mota,
na ziemię pada włosiennicą białą —
ostatni spada liść. — Już się to stało,
co skrycie z sobą wlecze jesień złota,

Takby się pragło iść gdzie pól martwota,
drogą z tych nitek pajęczych powstałą
i nigdy tu nie przyjść, na wieczność całą
zapomnieć, że ból jest, smutek i tęsknota.

Srebrna pajęcza kiść mota się, mota,
na serce się przędzie... Za chwilę małą
może śmierć cicho wnijść i dłonią białą
zamknąć na zawsze wszystkich pragnień wrota.

DESZCZ

Deszcz monotonnie, równo pada,
dzwonią o szyby krople drżące,
na świat wieczorna mgła osiada —

Dzwonią o szyby krople drżące,
smutek się w izbie wkrąg rozkłada
i w mroku roni łzy gorące —

Na świat wieczorna mgła osiada,
słychać jak łka przez echa mrące
wiatru bolesna serenada —

Smutek się w izbie wkrąg rozkłada,
a poprzez cienie w kątach śpiące
twarz się zwiduje strachu blada —

Deszcz monotonnie, równo pada...

POWRÓT

Po tylu latach znowu razem, sami...
znowu tęsknota łączy nasze dłonie —
jak niegdyś w smutnej świat szarudze tonie,
znów okna płaczą jesiennemi łzami.

Po tylu latach! Prawie, że nie wierzę —
myśl tylko czasem widziała cię we śnie —
tyle się razy raniłem boleśnie,
że trzeba było oddać cię w ofierze...

Tak mi dziś wszystko, wszystko jest przytomne:
ty — miłość nasza — lata w poniewierce —
Patrzę, jak kiedyś, w twe oczy ogromne
pełne łez dobrych, czuję twoje serce
wezbrane powrotnych snów naszych pychą —
Nie płacz... znów mojaś!... No już cicho... cicho...

PIERWSZY ŚNIEG

Płatkami pada śnieg pierwszy, wilgotny
i taje zaraz, nim na ziemię padnie,
porwany wichrem w błoto ulic zdradnie...
(Oczom się dawny śni sen, niepowrotny).

W słońcu migocą drobnych iskier lśnienia,
wirują cicho w niewstrzymanym pędzie,
jak słów ukojonych szeptane orędzie...
(W piersiach wykwita kwiat biały wspomnienia).

Sypiące się płatki baśń snują cudną,
baśń, co nim wskrześnie, już zaraz umiera —
wicher ją w błocie ulic poniewiera...
(Nie żałuj serce... Tak być musi — trudno!)

POŻEGNANIE

Doch wenn du sprichst ich liebe dich,
so muss ich weinen bitterlich...

Wiem, wiem już wszystko... Znam twe wszystkie
[słowa —
pożarem ci spadły z twoich warg pragnących,
piekące strugi łez twoich gorących
wszystkie tęsknoty zwołują od nowa.

Wiem, wiem, co znaczą twoje oczy wbite
bezmiernym strachem w moich ócz płomienie...
daremnie pragniesz nasze przeznaczenie
z nich wydrzeć, słowa w ból zaryte.

Och wiem, wiem... Z płomiennej róży kochania
targnięte bolem krwawe płatki lecą —
mąk ci się w piersiach morze wyotchłania,
resztek się pragnień nowe ognie niecą.

Wiem, co w szalonej, beznadziejnej męce,
na umęczonych piersiach skrzyżowane,
jakbyś w nich zdusić chciała świeżą ranę,
mówią twe do mnie prężące się ręce.

Wiem, czuję, słyszę — jak okrutnie szłyszę
jęk krwi rozłkanej w twojem całem ciele...
jak krzyk żebrzących nędzarzy w kościele,
piorunem bije w krwią ciekącą ciszę.

Nie, nie! nie mogę!... Ból swą strzałą ostrą
w ostatnich pragnień dławiących zaniku
usta w kłamliwym otwiera wykrzyku:
Pozostań!... bądź mi, bądź mi — — białą siostrą.

WIERSZE RÓŻNE

NOC

Ostatni blask wieczoru w czerwonej dali
kona —
wiatr się przytulił z szmerem do sennej fali
łona.

Śpią cicho wkrąg wybrzeża, strach ciemnej brodzi
Mocy —
po srebrnych ścieżkach księżyc na straż wychodzi
nocy.

URYWEK

... Choćbym w najdalsze uszedł strony świata
pójdzie w ślad za mną jakaś pieśń echowa,
co płaczem cichym wszystkie twoje splata
dobre, ukojne i raniące słowa.

Jakby korona z łez twych upowita
ciąży na myślach w dnia codziennej męce,
zaciska skronie, tak boleśnie wbita
przez twoje białe, kochające ręce.

MIŁOŚĆ

Jest takie jedno, jedno słowo święte,
prośba, żal cichy, jęk bezgłośnej skargi,
żarem spienionej krwi krzywiące wargi,
jak błyskawicy krzyk nagły poczęte,
w którem się społem dziwnie razem mieści
rozkosz najwyższa i męka boleści...

Słowo-czerw, co swym jadem myśl rozpręża,
koszmarem złudzeń wśród bezsennej nocy
w krwawej na piersi upada niemocy
i nakształt złego kusiciela węża,
co się wśród kwiaty wślizgnął nocą głuchą,
szaleństwa pragnień szepce długo w ucho...

Słowo to-rana, której nic nie zatrze,
łka mi na ustach, gdy ci w oczy patrzę.

FALE

Na niezmierzone, mgłą spowite morze
noc spada... Mewy się tłuką na skale...
Wiatr-oracz wchodzi między czarne fale
i lotnym pługiem w góry brózd je orze.

Latarni morskiej oko światłem gorze,
na grzbiet topieli wdziera się zuchwale,
patrzy się w coraz mroczniejące dale
i ciemność nocy blaskiem rzęs swych porze.

Pustka zasiada na wód chwiejnym tronie —
Nagle jęk głuchy podnosi się w wichrze,
jakieś wołania coraz dalsze, cichsze...
Może to okręt błędny jakiś tonie?! —

Nie! — wiem... To fale mi przyniosły ciemne
twoje wołania samotne, daremne.

NA WIOSNĘ.

Rozkoszą wszystko dyszy... Bzów aromaty
rozlkały się w jeden miłości hymn słodki —
w jaśminnej topieli miesięcznej poświaty
biel drzew się zanosi od słowiczej zwrotki.

Przez sen się całują rozkochane kwiaty,
wiatr zgina miłośnie łodyg kształt ich wiotki —
djamentami skrzą się ust ich wonne środki,
wskrzeszonych się marzeń iszczą cudne światy.

Las słabym szelestem święto czarów gędzie,
ręce w przestwór wonny wyciąga radośnie,
w uroczystym, cichym zaślubin obrzędzie
dąb się spowiada dębowi, sosna sośnie.

A na mgielnej łące w nieskończonym rzędzie,
gdzie złocistym pasem miodny łubin rośnie,
srebrnymi palcami księżyc cuda przędzie
i o przeszłych bolach opowiada Wiośnie.

WIECZÓR NA WSI

Na drzew korony nad stawem
słońce pada sercem krwawem —
cisza się niesie po chłodzie,
wgląda w chaty...
W snem już objętym ogrodzie
pachną kwiaty.

Na oknach cienie drgające
zawiesza słońce gasnące —
lśni rosa i płatki łączy
ust stokrótek...
Na pokój z mrokiem się sączy
cichy smutek.

SENTYMENCIK

Małą altanę owinęły bluszcze,
wokół się kwiecia rozpuściły pędy —
z daleka słychać perliste gawędy,
któremi pół sennie fontanna pluszcze.

W powietrzu wonie snują się gorące,
pełzają cicho w snem objętej trawie —
księżyc mgły szare rozpędza po stawie,
kładąc na fale wargi całujące.

Potem ogląda czy usnęły kwiaty,
pomiędzy drzewa bez echa przemyka
i srebrną dłonią dyskretnie odmyka
altany małej bluszczem zwite kraty:

Wewnątrz się ognie czterech oczu żarzą,
jakieś widnieją rąk drgających sploty —
szept idzie długi kradzionej pieszczoty,
usta się jakieś w cichym płaczu skarżą...

Szept słów gorących w nagłym spazmie rwie się —
czyjeś opadły łzy, wykwitłe w męce...
księżyc je w swoje jasne zbiera ręce
i między kwiaty rozbudzone niesie.

— — — — — — — — — — — —

Mała altano, snów młodzieńczych chramie,
gdzie skarby wyznań tajemnych się złocą!
Taką przycichłą, księżycową nocą,
jawisz się znowu w jasnej wspomnień ramie.

ZEGAR

Pamiętający czasy lepsze jeszcze,
stary, nadpsuty zegar zapomniany,
w kąt usunięty najzbędniejszej ściany,
jak bezpowrotnych lat widmo złowieszcze.

Niezmiennie, równo, tak jak dawniej stuka,
skrzeczy okienko w zegarowem pudle,
jakby na kruchem ktoś utykał szczudle:
kukułka głowę wystawia i kuka.

Poczciwy, stary, niepotrzebny gracie,
gderliwy świadku snów marzonych skrycie!
jak na zatartym patrzę cyferblacie
tajnych przeznaczeń godziny się złocą —
i czekam znowu, czy mi spełni życie,
coś obiecywał swoim szeptem nocą.

TAJEMNICA

Nieznana nas łączy wielka tajemnica,
zamknęła w nas swoje rozpaczne dźwięki —
gdyby kto poznał ogrom naszej męki,
płomień, co duszę wyrzutem przesyca!

. . . .

Po oczach twych przemkła trwogi błyskawica,
zadrgały nagle piersi twoich pęki —
nie cofaj swojej wyciągniętej ręki,
czemu tak nagle pobladły twe lica?...

Jak na pastwisku burzą gnane owce,
które oślepia wicher obłąkany,
pójdziemy, wlokąc snów wspomnień łachmany,
cisi, tajemnych przeznaczeń wędrowce.

Twardy rozdzieli nas żywot tułaczy,
złudne obrazy przeżyć naszych zrzedną,
zapomnim wreszcie naszą miłość biedną
i może przecież życie nam przebaczy.

SERCE

Nocą ktoś cicho łka nademną,
łka długo, długo i rozpacznie,
skoro się tylko północ zacznie,
skoro się w niemoc zwalę ciemną.

Jakiś mi znany głos żałosny,
drgający skargą w strasznym smutku,
szlochaniem szepce pocichutku
sen niepowrotny mojej wiosny.

O coś mnie prosi, błaga, żebrze,
wyrzutów krwawych wskrzesza wodze,
z bolu się tarza po podłodze
i kona w świtu bladem srebrze.

* * *

Dzisiaj mi wpadły w poniewierce
twe listy zżółkłe... I znów w ciemną
tę noc, załkało w głos nademną
twe opuszczone, biedne serce.

PO BURZY

Żonie mojej

Jak do pogodnej przystani, dalekiej,
gdzie fal się burzy zciszają odmęty,
lekko kołysząc strudzone okręty,
na łaskę zdane, ciche, bez opieki,

łódź mego życia dobra fala wniosła,
gdy ją pochłonąć chciał wicher szyderca,
do schronu twego litosnego serca,
gdy już tonęły połamane wiosła...

W łodzi mej jasno zrobiło się nagle,
ręce opadły już walką omdlałe,
usnęły cicho moje biedne, białe,
burzą stargane, oszalałe żagle.

Spoczywam wreszcie, utrudzony burzą —
jeszcze mi w uszach echo wichru jęczy...
patrzę na świt z fal powstającej tęczy,
już mi się czekań godziny nie dłużą,

już nie wyglądam, czy z poza omroczy
wód, bitych wichrem, nie wybłyśnie słońce,
bo mi wskazują życia dalsze końce
dwa światła jasne: twoje ciche oczy.

»GWIAZDKA«

CHOINKA

Pod drzwiami w skupieniu szereg jasnych główek —
serduszka się tłuką, buzie całe w ponsie,
oczka, co przeczutym cudów rajem szklą się
i szept niecierpliwych, cichych, słodkich słówek.

Tam, w pokoju, poza grubych drzwi zasłoną,
w robronie gwiazd złotych, w skrzących szronów
na puszystych skrzydłach niebiescy anieli [bieli,
cud — choinkę świecić kończą rozzłoconą.

Szept mrze pod zdyszanych usteczek oddechem —
Pierwsza gwiazda... W piersiach jakby kto bił mło-
[tem...
Chwila... coś jak srebrnych dzwonków granie...
[Potem
drzwi ktoś otwarł... Główki cisną się z pospiechem:

Cuda oprzędzione w złotych nici strączki
czarem nęcą dzieciąt buzie, oczka, rączki.

W NOC WIGILIJNĄ. .

W noc wigilijną, w jasnych skrach promienną,
wskróś oniemiałe, ciche pól przestrzenie,
błogosławiących łask niosąc milczenie,
malutki Chrystus idzie dalą senną.

Przez mroczny, niemy idzie las wiekowy,
błyszczący z nieba gwiazdy ogień sieją,
jodły się wkoło cicho modląc chwieją
i przed Nim białe chylą swoje głowy.

Gdzieś na Pasterkę pierwsze dzwony dzwonią —
Słucha jak dźwięk się tęsknotą rozlewa,
staje i srebrną od księżyca dłonią,
płatkami śniegu szepcąc słów pociechy,
wkrąg błogosławi pola, łąki, drzewa
i uciśnione, polskie, kurne strzechy.

TY...

OCZY

W twych oczach widzę omroczną świątnicę,
gdzie na tęczowych snów skrzydłach rozpięte,
w szarą godzinę wieczoru poczęte,
jawią się wszystkich pragnień tajemnice.

W twych oczach widzę mgielne morza dale,
po których cicho myśli moich łodzie
płyną bez wioseł, zdawszy jasnej wodzie
bieg swój, przez smutkiem skarżące się fale.

W twych oczach widzę ogród, w srebrne włosy
księżyca wmotany, gdzie na serca łące
w chłodzie konają kwiaty więdniejące
i przez sen płaczą kropelkami rosy.

W twych oczach widzę skryty mroku cieniem
gaj, w przeczuwanych wyśniony mirażach,
na zapomnianych gdzie świętych ołtarzach
ból się wciąż pali niezgasłym płomieniem.

USTA

Jak orchidei płatki rozchylone
są usta twoje — dobre twoje usta,
żadna się nuta nie zbłąka w nich pusta,
żadnego kłamstwa nie wyrzekły one.

Smutne są usta twoje... Cień uśmiechem
czasem się tylko przemknie w nich w milczeniu
i ginie zaraz w drobnych kątów cieniu,
jak błysk promienia bezszelestnym echem.

Usta twe harfą, z której się leciuchno,
jak z przędzy złotej snują jasne słowa,
co zmarłą wiarę wskrzeszają od nowa
i balsam leją w mojej piersi próchno.

Nad śmierć są usta dobre twoje cichsze,
gdy ból mi w duszy zjątrzy nową ranę,
wtedy bieleją ich płatki rozdrgane
i tak drżą strasznie, jak w jesiennym wichrze.

RĘCE

W pamięć wełkane drogie ręce moje!
najmiększych kwiatów łodygi pachnące —
oplotem ciszy na skronie gorące
kładzione — ręce łask najczystszych zdroje.

Z których się w chwilach tępego zwątpienia,
jak z dwu kielichów, czystych nieskończenie,
z wszystkich upadków słodkie rozgrzeszenie
bierze w komunii świętego milczenia.

Dwa drobne, białe skrzydła rozpostarte
nad kładką życia chwiejącą się zdradnie,
czujnie chroniące to, co gdzieś tam na dnie
w duszy zostało, brudem nie zatarte.

Do chramu serca wciąż otwarte wrota,
na moje przyjście trwożnie czekające,
gdy po bolesnej błąkania rozłące,
do ciebie znowu zwlecze mnie tęsknota.

WŁOSY

Zapachów wschodnich falo szczerozłota,
mącąca zmysły, jak czar kwietnych błoni,
wezgłowie miękkie dla gorących skroni,
od których zbiegła snów życia ochota.

Zcichła muzyko rozmarzeń zmierzchowych,
z szelestem słodkim poprzez ręce moje,
złotych sypiąca akordów swych zwoje,
jak szloch zbłąkanych słów, pieśni echowych.

Zasłono wonna, poprzez której końce,
kiedy się wszystko wkrąg mi chmurą stłoczy,
wychylam trwożne, zadziwione oczy
i widzę nowy świat i nowe słońce.

LIST

Piszę do ciebie ten list bardzo smutny
i mówię sobie bezradnie, daremno,
że ciebie tutaj nie ma, nie ma ze mną,
żem sam pozostał — losów zwid pokutny.
Nie ma cię ze mną!... Codziennie jak echo
głos jakiś we mnie cicho, długo płacze,
słowa za tobą wysyłam tułacze,
że myślisz o mnie jedyną pociechą
jest mi w dniach długich, co się smutno wleką.
Marna pociecha!... Wciąż wiem tylko tyle,
gubiąc się w myślach dnia szarego pyle,
że ciebie nie ma, że ty tak daleko!
Że przyjść do ciebie, kiedym pełen smutku,
osamotnienia gdy czerw serce toczy,
nie można! nie można popatrzeć ci w oczy
i czoło u stóp twych schylić po cichutku.
Że gdy obsiędą duszę zwątpień cienie,
ugodzą w serce, jak zatruta strzała,

klęknąć przy tobie moja święta, biała
i z rąk twych czystych brać z nich zapomnienie
nie można przecież, bo cię oddal kryje.
Nie można wchłonąć w twoje włosy płowe
ust spiekłych smutkiem, w piersi wtulić głowę
i słuchać w ciszy, jak ci serce bije.
...Światy, mi teraz inne w oczach rosną,
nie takie świeci słońce, nie tak pachną kwiaty —
ktoś zabrał z sobą światła chram bogaty,
ktoś, kto sam był słońcem, kwiatem moim, wiosną.

. . . .

Piszę te śmiesznie rozrzewnione zwrotki
i mam cię w oczach, tak cię czuję całą
i przez jedną krótką, dobrą chwilę, małą,
jawi mi się twarzy twojej obraz słodki.
Prawie, że szept twych ust ponsowych słyszę
przy ustach moich, z pragnień tajnych mrących...

snuje się litania słów kochaniem wrzących
i zapada w jakąś pół-omdlałą ciszę.

— I cóż ci więcej jeszcze donieść o mnie?
żyję przez ciebie, spowiadam się tobie,
przed ludźmi kryję twarz moją w żałobie,
uciekam w pustkę i tęsknię ogromnie.

Jeszcze pamiętasz?...
Przywołaj na chwilę,
gdy będziesz sama, jeśli źle ci będzie,
kiedy cię smutek tęsknotą oprzędzie
razem przeżytych tych chwil jasnych tyle.
A może kiedy wyjdziesz w cudne rano
jeszcze snów o mnie płomieniami syta,
w dalekie pola, między chwiejne żyta,
na jakąś łąkę kwiatami rozśmianą —
Maków cię fala ogarnie płonąca,

owionie zapach ziół rośnych, słodkawy,
do stóp twych małych pochylą się trawy,
całować cię będą złote usta słońca
i iść tak będziesz wskróś dzwoniącą ciszę,
[kwiaty się kochać będą w twoim cieniu]
i słuchać będziesz w zbożnem zamyśleniu,
jak się las w rannej modlitwie kołysze...

Kwiat zerwij wtedy rosnący gdzieś zbędnie,
pocałuj, nazwij go mojem imieniem,
przypnij do piersi gorącej wspomnieniem
i kochaj tak długo, póki nie zwiędnie.

TREŚĆ

LWOW DRVKARNIA OSSOLINEVM